



MOTYL

PIĄTEK DNIA 4. WRZESNIA 1829.

Ż O K O.

ZDARZENIE INDYJSKIE

(Opowiedziane rękopismem Portugalskim).

Mieszkałem od lat kilku na wyspie... a ponieważ niechęć być znanym, będę się strzegł szczegółów tyczących imienia bynajmniej sławnego. Lecz opowiem tu zdarzenie którego pamiątka jest mi nader drogą i bolesną, dla tego że zawiera w sobie szczegóły wypadku będącego po części źródłem dostatków jakie posiadam.

Byliśmy właśnie w najgorętszej porze lata: godzina piąta dopiero co wybiła na wielkim zegarze parafialnym, słońce rzucało jeszcze zachodnie promienie na powierzchnię ziemi. Strudzony obowiązkami, lubiąc samotne dumania, wyszedłem z domu i udałem się sam ieden do lasu od pomieszkania mego w nie wielkiej odległości leżącego.

Zaledwie uszedłem paręset kroków ciemnej dosyć gęstwiny, której chłód był nader przyjemny, gdy usłyszałem nagle szelest po lewej stronie ścieżki. Zdało mi się że coś widzę przesuwałącego się pomiędzy liśćmi drzew. Nadstawiłem ucha, lecz nic nie usłyszałem, szedłem więc dalej zatopiony w słodkich marzeniach. Od chwili której zostawiłem biesiadników, mieniących się moimi przyjaciółmi tłumnie zebranych u stołu przy wytwornem winie, nie byłem ieden, lecz byłem z nasuwającemi się ustawnie przypomnieniami. — Powtórny szelest do pierwszego podobny dał się słyszeć znowu. Zatrzymuję się i spostrzegam między liśćmi drzew przyległych małą główkę kształtu prawie kulistego. Dwoje ślicznie przeciętych oczu wlepiło we mnie wzrok łagodny. Mały nosek, dwie wargi świeże, drobne ząbki białe iak mleko czyniły tę postać iezeli nie piękną, przynajmniej nader przyjemną. Ta wnet poruszywszy się nieco ukazała mi się w połowie ciała. Skóra z pierwszego rzutu oka zdała mi się bydź podobną do skóry młodej myszki, nieco barwiona lekkim srebrzystym kolorem. Pobiegłem ku niej chcąc ją złapać ale w okamgnieniu wdrapała się a raczej wskoczyła na wierzchołek wyniosłego kokosowego drzewa. Członki iej były rzeskie i lekkie, wzrost zaś ile mi naówczas sądzić rzeczą podobną było do czterech stóp i kilku cali dochodził. Wysunąwszy główkę z pomiędzy gałęzi przypatrywała mi się z uwagą. Kiwnąłem na nią palcem ażeby się zbliżyła, ona też naśladując mię dała podobny znak coby mi dosyć był trudnym do wykonania, chociaż bowiem byłem lekkim zręczność moja w porównaniu daleko niższą była.

Ciekawy z przyrodzenia, miałem w podróżyach moich sposobność poznania rozmaitych gatunków małp iako

to: Orangów, Pongosów, Żoków i t. d. Poznałem od razu że to ładne zwierzątko było samicą z rzędu ostatnich i już dałem jej imię właściwe Żoko, gdyż mi się zdała piękniejszą od swego rodzaju.

Miałem zwyczaj nosić z sobą odrobiny chleba: lubiłem je rozdawać ptaszkom po drodze podczas mych długich samotnych przechadzek. Widząc że mi się zawsze ciekawie przypatrywała rzuciłem jej kawałek chleba. — Zeskoczyła z drzewa na którym siedziała, podjęła chleb i wachała obracając go na wszystkie strony, spoglądała z nieufnością iuż na mnie iuż na chleb, wreszcie nie śmiała go kosztować. Znałem ten rodzaj wahania się wspólny gatunkom Żoków i Pongosów: dla zachęcenia więc jej wzięłem drugi kawałek którego ugryzwszy połowę rzuciłem jej drugą. Porwała ją na powietrzu z niesłychaną zręcznością i zjadłszy, wzięła pierwszy kawałek obwachała raz jeszcze i to co z tamtym uczyniła. Gdy stałem nieporuszony, wyciągnęła ku mnie łapkę i machając nią niecierpliwie, zdawała się prosić mię o powtórzenie daru; rzuciłem jej kilka innych kawałków chleba które chwyciła zawsze z podziwienią godną zręcznością, ale skoro krok naprzód podstąpiłem odbiegała do pewnej odległości i nie pozwalała nigdy zbliżyć się do siebie. Wtedy różne robiłem poruszenia: iuż szedłem w bok, iuż cofałem się wstecz zawsze rzucając kawałki chleba a piękna łapka stale była wyciągniętą ku mnie: machała nią zgrabnie dając słyszeć niekiedy cienki głosek, zmieniający się w różne tony, co zapewne coś znaczyło. Widząc nakoniec że iuż nie rzucam, zmieniła nagle przedsięwzięcie. Wskoczyła lotem strzały na kokosowe drzewo, zerwała kilka owoców i rzuciła mi je pod nogi. Otworzyłem ieden szerokim nożem, który zawsze nosiłem

przy sobie: pożyłem kawałek iądra wypilem nieco mleka, potem oddaliłem się dla dania moiej Żoko wolności utraktowania się resztą, co też uczyniła w sposobie dającym poznać że ten posiłek nie był dla niej obcym. — Dzień był na schyłku powracałem więc do domu. Przedziwne stworzenie szło za mną wydając przestankiem ów cienki głoszek co mi się tak miłym wydawał. Widząc że nie odpowiadałem na te jej pieśczoły zawróciwszy się smutna oddaliła się powoli.

Nazajutrz powróciłem o tejże samej prawie godzinie. Żoko czekała mię przy wejściu do lasu; leżąc w gęstej krzewinie, odsłoniwszy gałęzie, patrzała z pomiędzy liści. Skoro tylko zoczyła mię wybiegła na moje spotkanie z wielkimi oznakami radości i tak się rozpędziła iż dotknęła prawie moiej sukni. Przestraszona tem zbliżeniem się mimowolnem, uciekła i wskoczyła na wierzchołek drzewa odemnie oddalonego na sto kroków. Aby jej bardziej nie zatrwożyć, przybrałem postać obojętną i rzuciłem kilka kawałków chleba po drodze: zlazła powoli obwąchała ie dla rozpoznania czy takie same iak wczoraj były, nakoniec zjadła z apetytem. Zrobiłem był wielki zapas miękkich biszkoktów, rzuciłem ieden, porwała ji w lot, zwietrzyła, lecz zdawała się wahać dopóki sam nie skosztowałem drugiego dla przykładu; w ówczas okazała swoje ukontentowanie skokami i koziołkami które z zadziwiającą przewracała zręcznością i zbliżyła się do mnie wyciągając kształtne łapki dla otrzymania więcej biszkoktów.

Każdego wieczora podobne były sceny: przychodziłem z pełnemi kieszeniami: a gdy powracałem były puste, każdego razu gdy jej dawałem ciasto nieznaionego dla niej gatunku, też same były z jej strony wahania się, nie

ładła wprzódy aż jej dałem przykład. Pilna w śledzeniu moiego do lasu przybycia, przybiegła pewnego razu na moje spotkanie, położyła w dosyć znacznej odległości przedemną kilka pięknych kokosowych orzechów a przy nich twardy i ostry kamień. Dziwiłem się instynktowi jej, otworzyłem dwa orzechy, wziąłem ieden i oddaliłem się aby dać jej zbliżyć się po wzięcie drugiego. Wypiłem mleko, zjadłem część ładu, w czem naśladowała mię i okazywała iedząc swe ukontentowanie pięknym krzykiem, który tak miłe na mem uchu czynił wrażenie. Tu przyszła mi myśl wykonana nazajutrz. — Prócz zwyczajnego zapasu ciast biszkoktów i chleba wziąłem z sobą flaszkę wina *Cavello* które przywiozłem z Lisbony: nalałem do szklanki i udawałem iakobym pił, poczem postawiłem ją na ziemi oddalając się o kilka kroków.

Mała Żoko, zbliżyła się powoli, wzięła zręcznie szklankę, wypita wino smakując ie po kilka razy i patrząc na mnie z zadowolnieniem, pociągała język po wargach, a gdy pić skończyła postawiła szklankę na tem samym miejscu z którego ją wzięła. Wypłókawszy szklankę w wodzie deszczowej znajduiącej się w wypróchniałem drzewie, napełniłem znowu winem do połowy, zbliżyłem do ust i postawiłem dla moiej małej faworyty, która zdawała się wypić ie z większym ieszcze smakiem niżeli pierwej. Potem zawsze w naśladowaniu wierna, wypłukała szklankę i postawiła w temże samym miejscu, spodziewając się może iż ieszcze raz ją napełnię, czego iednak nie uczyniłem bojąc się jej zaszkodzić. — W istocie wino lubo bardzo słodkie działało znacznie na jej zmysły. Oczy moiej Żoko zdały się bardziej ożywione, iuż mniej była boiaźliwą, spoufalila się nawet ze mną do

tego stopnia iż dotknęła się mych sukni końcem swych łapek. Mógłbym ją być bez trudności złapać, lecz nie chciałem ani jej straszyc, ani obudzać w niej pierwszej nieufności.

Dni następnych wino Cavello i Xerez, których dawałem potroszę zdawały się wielkie sprawiać jej ukontentowanie, wreszcie spróbowałem przynieść jej likworu. Dawszy jej więcej do zjedzenia łakotek iak zazwyczaj, postawiłem przed nią mały kieliszek likworu; i zdała się być naprzód zdziwioną i niespokojną, ale w prędcie rozkosz wzięła górę; wyciągnęła swe łapki skacząc koło mnie: był to jej proszenia sposób. Postawiłem drugi kieliszek, lecz do połowy tylko pełny, obawiałem się bowiem zaszkodzić zdrowiu tego ślicznego stworzenia. Chwycała Żoko łapczywie, piła potrosze i zdawała się wielce smakować. Wynikło z tego odurzenie zmysłów, które się okazało w jej oczach: wtedy jej boiaźń i nieufność ustały, rzuciła się na mnie, oparła główkę na mem ramieniu, toczyła ją swawoląc po mych piersiach; gdy szedłem biegła za mną [skacząc, dawałem jej ciasta które już jadła bez wahania się: nie było więcej nieporozumienia między nami. Wziąłem jej prawą łapkę, podsaadziłem pod pachę mego lewego barku i szliśmy ciągiem blisko ćwierć mili: niekiedy odbiegała odemnie aby się upędzać za Motylami, już szła obok mnie, zgadzając przedziwnie chód swój z moim.

Ponieważ jej przednie łapki były nieco dłuższe iak ręce ludzkie, przyszło mi na myśl złożyć je na krzyż. Niewiem iakie były jej myśli, lecz przestraszywszy się, oddaliła się o kilka kroków i przybrała minę gniewną. Przypomniałem sobie naówczas że czytałem w kilku opiszach podróży to, co i sam doświadczyłem względem wsty-

du właściwego temu rodzajowi. Z tem wszystkiem nie uważając na to, zawołałem znakami i głosem biedną Żoko, dałem jej ciasteczka które zjadła bez żadnego znaku ukontentowania i szła długo po tejże samej co i ja drodze ale w pewnej odległości.

Trzeba się było rozłączyć co ażeby zrozumiała, zdejmowałem kapelusz i czyniłem głębokie ukłony: z razu zdała się być nieco zmieszana, ale w wprędce coś na myśli ułożyła; urwała kilka liści figowych i utworzyła zgrabnie gatunek kwefu: było to dziełem momentu, włożyła ten kwef na głowę i ukłoniła mi się z miną komicznie poważną. Potem każdy z nas udał się w swoją stronę obracając się w tył po kilka razy.

Nazajutrz przystąpiła do mnie w kwefie z liści uplecionych nieco sztuczniej iak przeszłą razą i trzymała w ręku gatunkiem laski okręconej liśćmi. Znalazłem iż miała w tej postaci coś strasznego a razem dziwnego co mię do śmiechu pobudziło. Przyniosła mi kilka orzechów kokosowych, wypiliśmy mleko, pożyliśmy iądra i przy kilku biszkoktach z winem, byliśmy w najlepszej harmonji, kiedy następne zdarzenie a mało nas nie powaśniło.

Wziąłem był bez żadnego umyślnego zrazu zamiaru małe zwierciadełko, wydobyłem je z kieszeni i pokazałem z nagła. W jednej chwili zadziwienie, bojaźń i zazdrość odmalowały się w jej spojrzeniach. Rzuciła się z wściekłością na tę postać chcąc ją rozszarpać na sztuki. Nic nie uchwyciwszy obeszła zwierciadło z drugiej strony, przyszła znowu naprzeciw, wyciągnęła za zwierciadło łapy i więcej iak dwadzieścia razy powtórzyła te ciężkie obroty. Niechże teraz kto mnie mówi że zwierzęta nie mają wyobraźni!... Nakoniec miotana różnemi poruszeniami ledwie oddychająca, rzuciła się do mnie i

prawie szalenie toczyła piękną główkę po moich pierśsiach, objęła mię łapkami ścisnęła z całej mocy iak gdyby chciała mnie daleko odciągnąć. Włożyłem fatalne zwierciadło do kieszeni, pogłaskałem ją i dałem kilka ciastek, a po kieliszku likworu pokój był między nami, spoglądała iednak na mnie z wyrazem twarzy nadzwyczajnym i zdawało się że chce do mnie przemówić.

Tegóż wieczora nie chciała mnie opuścić i napróżno dawałem jej do zrozumienia znakami a nawet oddalając ręką, że iuż czas nadszedł, chwyciła się za suknię i oddaliwszy się na kilka kroków znowu do mnie powracała. Przybywszy do ostatnich drzew lasu, zatrzymała się raptownie, wyciągnęła prawą łapkę ku zachodowi słońca, zwiesiła smutnie głowę i wydała krzyk boleśny: przyznaię że ten znak mający w sobie coś poważnego zadziwił mię i dał powód do długiego myślenia. Przypomniałem sobie w tej chwili że kilku Naturalistów, Badaczy, nie mówiąc wyraźnie dawało do zrozumienia że istoty tego rodzaju miały wyobrażenia mniej więcej dokładne o Istocie Najwyższej. Nie, ten rozsądek umysłowy który u zwierząt nazywają instynktem, nie był ieszcze zgłębiany i oceniony. Filozofjo! ileż nieznaných krain masz ieszcze do przebycia?

Nieszczęściem nazaiutrz wypadek nie pozwolił mi udadź się na miejsce naszych schadzek. Byłem zatrzymanym u siebie różnemi interessami które nie zostawiły mi ani chwili wolności. Nie zobaczyłem więc moiej przyjaciółki aż nazaiutrz. Niestety, nie znalazłem iuż jej na miejscu gdzie mię zwykle oczekiwała. Wołałem na nią lecz napróżno, szedłem wgłęb; Żoko i klaskania w ręce odbiły się daremnie w lesie. Nakoniec znalazłem ją na ziemi w tem miejscu w którym jej pokazałem fatalne

lustro: była prawie bez zmysłów. Dałem jej połknąć kilka kropel kordjaku, oddech zdawał się być ciężkim i przerywanym, ciało zaś bardzo osłabione, iedzenie połykała z trudnością, lecz gdy się orzeźwiła trochę, poznałem po chciwości z jaką się na pokarm rzucała, że biedne stworzenie od dwóch dni niczego nie iadło.

Gdy głód nieco zaspokoila, pozšliśmy nieco, na przechadzkę wedle zwyczaju, gdyżem ją był wprawił obok mnie, iak wiadomo, chodzić. W tem Żoko zatrzymuje się, rzuca mi się do nóg, przyciska do nich swe wargi i obejmuje mi łapkami kolana; dosyć miałem pracy podnieść ją z tego uniżenia się, drżała iak liść: podałem jej ciasta i marcepany które bardzo lubiła, lecz zwróciła mi ie z twarzą smutną przy schyłku zaś dnia odeszła sama w głąb lasu. Podczas całej drogi była zamyśloną i zaiętą, nakoniec rozstała się ze mną rzucając na mnie spójrzenie tak znaczące iż nie mogłem wstrzymać się od obserwowania jej z niespokojnością. Powróciłem następnego dnia o zwyczajnej godzinie, ale nie znalazłem jej ieszcze. Niemogąc się dowołać czekałem: wpółgodziny może, ujrzałem ją przybiegaiącą do mnie z przyrodzoną lekkością, nie chciała biszkoktów którym jej dawał, lecz wina się napiwszy, wzięła mię za rękę i prowadziła w głąb lasu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

GDZIE SZUKAĆ PRAWDY.

Czego tu Matko zebrawszy twe dziatki
Czekasz pod drzwiami leiąc tzy cierpienia,
Bogacz nadęty swoiemi dostatki
Z uśmiechem patrzy na twoje westchnienia.

Marną nadzieją mniemasz oszukana
Że cię choć groszem ów Pan wesprzeć raczy,
Pragniesz więc zmiekczyć ludzkości tyrana,
Obrazem nędzy i łzami rozpaczy.

Rzuc nie szczęśliwa te wspaniałe progi,
Idź gdzie poczciwi mieszkają wieśniacy,
Tam cię z nich każdy w swej chatce ubogiej,
Wesprze najchętniej owocami pracy.

Parys.

DO PRZYIACIELA ŚPIĄCEGO.

Otulony iak nie żywy
Śpisz kochany Teodorze,
Tobie może sen życzliwy,
Ośladza to cierpień morze,
Morzem życie nazwę śmiało,
A falami nasze trudy,
Łódką wątłe nasze ciało,
Żeglugą troski i nudy.
Chęci nasze są żaglami,
Kompasem życie człowieka,
Niepomyślności wichrami,
Celem kraina daleka,
Portem wieczność przeznaczona,
Śmierć straszna, wylądowanie
Którego ciemna opona,
Kończy nasze narzekanie.

Otulony iak nie żywy
Śpij więc dobry Teodorze,
Tobie może sen życzliwy,
Ośladza to cierpień morze.

Parys.

O CHARAKTERZE TOWARZYSKIM.

Charakter towarzyski jest zdolność umysłowa podobania się: udeterminowana skłonnościami zwyczajnemi serca. Umysł jest to całość złożona z pamięci, wyobraźni, rozwagi i sądu.

Serce jest siedliskiem namiętności, oraz początkiem uczuć. Kombinacja przymiotów serca i umysłu człowieka stanowi *charakter*.

Człowiek którego serce statecznie ożywione chęcią służenia i obowiązywanie, mówi tylko rzeczy przyjemne i ma dobry charakter.

Dusza nabywa takich lub innych nałogów wedle skłonności które nią najczęściej kierują.

Cztery są dobre nałogi czyli przymioty towarzyskie: *życzliwość, skromność, dyskrecja i pobłażanie*.

Kto ma drogi zaród tych czterech przymiotów, ten się podoba w społeczeństwie. Zdolności umysłowe rozwijają ten zaród ale go nie tworzą. Cnota jest usposobieniem powszedniem, stałą wolą duszy. Grzeczność która z niej nie wypływa jest przypadkową i znika wkrótce ze swoją pobudką. Trzeba widzieć człowieka z jego niższymi, aby ocenić dobre jego usposobienia.

Życzliwość jest usposobieniem przyjacielskiem duszy, powodującym nas do stania się pożytecznymi i przyjemnymi drugim, jest naturalnem następstwem oświeconego przekonania o korzyściach towarzystwa. *Życzliwość* stara się uważać ludzi w świetle najpomyślniejszem, zapominać o przewinieniach i pamiętać tylko o ich prawach do naszej miłości.

Życzliwość nie jest powierzchowną, czyni nas ludzkiemi, uczynnymi, przyjemnymi. Nadać nie tylko obejś-

ciu, lecz uczuciom i mowie coś miłego i obowiązującego, które nam pozyskaie serca.

Nic pożądaniejszego człowiekowi słabemu to jest każdemu z nas iak zamiłowanie bliźnich. Otrzymamy je miłując ich wzajemnie. U większej części ludzi umysł daie się powodować sercem i skoro miłość ich otrzymać umiemy, otrzymamy pewno i szacunek.

W rozmowie życzliwość układa nas do słuchania innych z uwagą, cierpliwością i zaięciem, do rozeznania ich rodzaju zasługi, do pomagania jej wyjściu na iaw, wreszcie do oddalenia od nich wszelkiego wrazenia mniej przyjemnego i wzbudzania owszem uczuć radości i szczęścia.

Nic tak nie upokarza iak roztargnienie oczewiste, słuchacza który szuka co powie podczas gdy twoię myśl wynurzasz, i nieszczęściem nic pospolitszego w naszych kołach: skoro który z rozmawiających skończył swoją frazę, drugi zabiera głos aby mówić, lecz bynajmniej aby mu odpowiedzieć. Większa część rozmów podobna iest do owego przysłowia: Wlazł na gruszkę, rwał pietruszkę, a czy smaczna cebula? Każdy swoje a swoje.

Czemużbyś miał komukolwiek odmawiać uwagi której sam wyciągasz, gdy iuż mu ią winienesz iako kompensatę iego chęci pozyskania twego dobrego mniemania?

Nadzieia dania korzystnej o sobie łopinji powodnie wielkiego gębę do przywłaszczzenia całej konwersacji? Nadzieio mylna! ten tylko iest zadowolniony z cudzej zasługi, kto rozumie iż dowiódł mu swojej. Ieśli chcesz ujdźz za człowieka z dowcipem, staraj się ażeby przy tobie drudzy dowcip mieli.

Oswiały moralista wzięłby to za pochlebstwo, lecz chęć podobania się niema nic z niem wspólne, ponieważ pochlebstwo szuka korzyści ze słabości i namiętności.

ci cudzych, ponieważ pochlebstwo iest przymileniem posuniętem do podłości dla osobistych widoków. Ale człowiek który stara się w drugich obudzać uczucia przyjemne bez [wyłączenia *nikogo*, ten okazuje charakter *życzliwy*, szukający swojego szczęścia w szczęściu innych.

Pierwiastkiem wad temu przeciwnych iest egoizm do którego człowiek aż nazbyt iest skłonnym. Życzliwość uprzedza lub podbiia to obmierźłe uczucie, rozlewając bezustannie na innych, affekt, który egoizm koncentruie na nas samych. Małą liczbę cnot drudzy równie oceniam, ponieważ każdy znajduje, w sobie miarę poświęcenia iakiego wymaga szlachetne zapomnienie siebie dla szczęścia i radości drugich, tem więcej popłatne u światła, iż iest napełniony ludźmi sobą iedynie zaprzężnionemi.

Skromność iest rozsądne umiarkowanie duszy, która karcie wybryki miłości własnej i broni nam wynoszenia się z własnych zasług.

Chceszli aby o tobie dobrze mówiono, nie powiadaj nic nigdy na własną pochwałę. Zdaie się że drobna sława postrzegania zasług cudzych pociesza nas z tego iż nie są nasze.

Skromność zawsze towarzyszy prawdziwej zasłudze i iest obowiązkiem względem ludzi, którego dopełnianie czyni nas przyjemnymi w ich oczach.

Dyskrecja iest uwaga ciągła nad naszemi wyrazami i sprawami ażebyśmy nie mówili ani czynili nic takiego coby obrażało drugich albo szkodziło nam samym.

Ta roztropna uwaga stara się przemilczać nietylko przykre ale i niepotrzebne rzeczy.

Najpewniejszym środkiem zachowania dyskrecji iest małomówność. Wybór myśli, wystowienie onych i czas

wysłowienia, dać im owszem wyższość niezawodną nad tymi którzy się nie oglądają. Albo milcz albo mów co lepszego [nad milczenie, powtarzał Pitagoras uczniom swoim, jeżeli zaś przymuszony jesteś mówić o fraszkach, wybieraj takie, któreby nikomu nie szkodziły. Lepiej zaiste mówić o dżdżu i pogodzie iak trudnić się żniwem plotek, zazwyczaj gruntów iakówych produktem.

Pobłażanie jest szczęśliwy zwyczaj cierpienia bez humoru i przebaczenia błędom i wadom drugich.

Kto posiada tę cnotę widzi swoich bliźnich nie ciemnym okiem odludka, lecz okiem uważnym czułego filozofa, który się uczy poznawać ludzi nieprzestając ich kochać.

Przekonanie iż najmędrsi mają swoje *ale*, że sami nie jesteśmy wolni od niedoskonałości, powinno być dostatecznym powodem przepuszczania bliźniemu iakbyśmy chcieli aby nam przepuszczono.

Ktokolwiek porachuje ile w życiu winien, cudzej pomocy i okolicznościom któreby mogły mu być sprzeczne, będzie zapewne pobłażającym.

Nałóg sprzeczenia się i gorącego dysputowania jest największym szkopułem pobłażenia. Dostyc rozmyślać nad powiewnością zdań ludzkich aby słyszeć najbłędniejsze z umiarkowaniem; zależne bowiem od charakteru, od rodzaju studjów, od stanu towarzyskiego, od wieku, temperamentu, zdrowia, chwili, nie mogą wiecznie być niewzruszonymi. Łatwiej cierpliwie wysłuchawszy i zwolna wynurzywszy przeciwne mniemanie, dadź im rychły pokój, z czasem do namysłu, aniżeli wysilać się na przeparcie mocą i bronią, czepiającego się ich uporu.

Przydaj do tego ile było kłótni dla niewyrozumienia, i dla pospiechu w dobieraniu wyrażen? Stuletni Fon-

tenelle? od młodości znał tylko przyjaciół. Upewniał iż był winien to szczęście dwóm prawidłom: *wszystko stać się może, każdy ma rację*. Z resztą każdy wie że: *Iacykolwiek śmiertelni, potrzeba żyć z niemi*.

KRONIKA WYPADKÓW

od dnia 16. do 29. Sierpnia włącznie.

Rossja. Xiążę Chosrew Mirza syn Następcy Tronu Perskiego w Moskwie.

Anglja. Otworzono 31 Lipca Tunnel Liwepolski, długi 270 iardów.

Francja. Nagła zmiana francuzkiego Ministerjum: Zgon 118letniego Artysty dramatycznego Noel. — W sądzie Appellacyjnym we Francji Pan Barthelemy, bronił swojej sprawy literackiej, wierszami. — Instytut wylęgania kurcząt w Paryżu, wydający codziennie cztery do pięciu tysięcy piskląt.

Niderlandy. Bdelometr czyli sztuczna piiiawka złożona z ostrza trójkątnego i z pompki.

Polska. Opera Kopciuszek z muzyką Rossyniego.

NOWE DZIEŁA.

Opis nowo wynalezionej budowy dachów. — Tom Szósty romansu Hippolit Boratyński. — Tabella zamiany miar i wag polskich przez I. Kolberga, zł. 6. gr. 20. — Rozmowy Polsko-Rossyjskie przez Zagarzewskiego zł. 6. Galerja obrazów życia ludzkiego z Washingtona Irwina, przełożył I. Bychowiec zł. 8. — Edycja druga zabawek wierszem I. Kułakowskiego. — O wypychaniu zwierząt przez Laupmana zł. 6. gr. 20. — Tom 3ci Chemji

Fonberga. — Nauka o handlu krótko zebrana przez Budnego zł. 2. gr. 10. — Wyrocznia czyli zabawa płci pięknej poświęcona przez Kostrzębskiego [zł. 5. — Prenumerata na Poezje A. Kroplewskiego zł. 4. — Mapa Polski od VIII. do XIX. wieku przez I Miklaszewskiego. — Nowy doręczny Atlas *nowożytny* (pierwszy w Polsce) w Składzie Dal-trozza zł. 13. gr. 10.

Nóty. Piękna Podolanka Mazur do śpiewu przez I. Damse zł. 1. — Marsz ofiarowany Officerom Wojska Polskiego przez Seravallo zł. 1.

ROZMAITOŚCI

Powóz na trzy osoby ciągniony przez *konia drewnianego*, wynalazca Pan Izaak Brown w Keighley. — Henryś Łazowski sześćioletni doskonały rachmistrz w Gallicji. — Billardy żelazne w Anglji. — Gazeta cukrowa na pierniku w Kolonji nad Renem. — Teatr Papuży w Londynie. — Okulary z bursztynu w Lipsku. — Pokrowce od deszczu zamiast parasolów. — Klej gołębi klejący Blachę, szkło i porcellanę.

Z A G A D K A.

Życie mi śmiercią, gdy rodzę się ginę,
Niżli świat ujrzę muszę iść w perzynę,
I co na świecie rzeczą nader rzadką,
Śmierć dla mnie matką.

Explication de la gravure Nro 36. *Capote de crêpe, Robe de foulard, Pelerine en tulle brodée.*

Objaśnienie ryciny Nro 36. Kapota krepowa, Suknia fułarowa, Peleryna tiulowa haftowana.

Znaczenie przeszłej Zagadki — Ślimak.